

Pojęcia, które dużo wyjaśniają

Porcelanka (*Baby Blue Eyes Flower*) – roślina, która swoją nazwę zyskała dzięki intensywnie błękitnemu kolorowi kwiatów. Występuje na ziemiach Ameryki Północnej, kontynentu oddzielonego od Burnbrick Street zimnym i strasznym Atlantykiem. Roślina potrafi obrosnąć całe hektary ziemi, zamieniając ją w lustrzane odbicie nieba.

Baby Blue(s) – depresja poporodowa, która utrzymuje się u kobiety zwykle od kilku dni do około dwóch tygodni po porodzie. U matki Zoe stan ten trwa jednak nieprzerwanie od lat siedemnastu.

ROZDZIAŁ I



Zachodni brzeg

To zaczęło się w dniu jej siedemnastych urodzin. Zoe Magellan, która jeszcze nigdy dotąd nie odezwała się głośno bez pozwolenia, oznajmiła nagle:
– Cholera.

Siedziała wtedy co prawda zupełnie sama, ale i tak poczuła ciarki strachu na całym ciele. To było najgorsze przekleństwo, jakie kiedykolwiek przeszło jej przez gardło.

Dzisiaj miała prawo to powiedzieć. Nie tak powinny wyglądać siedemnaste urodziny. Zawsze wyobrażała sobie, że w tym dniu spełni się jedna z trzech obietnic: po pierwsze, stanie się dorosłą kobietą, po drugie, dostanie pozwolenie na zaczesywanie włosów wysoko do góry, jak inne dorosłe kobiety, a po trzecie, najważniejsze – stanie się w końcu piękna.

Żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła. Zoe wpatrywała się w skupieniu w swoje odbicie w lustrze, próbując dostrzec w sobie choćby najmniejszą zmianę. Zaskoczyło ją, że wyglądała dokładnie tak samo jak wczoraj – nie była ani dorosła, ani piękna. Jej włosy wciąż miały kolor śniegu, a skóra była blada i cienka, cętkowana na białło, jak gdyby ktoś pochłapał ją kroplami świeżego mleka. Nadal wydawała się tak samo szczupła, a jej sylwetka nijak nie przypominała pełnej, kobiecej figury. Najgorsze były jednak oczy – tak niebieskie, jak dwa zamrożone jeziora. Ludzie, którzy jej się przypatrywali, zwykle zatrzymywali wzrok właśnie na tych dziwnych oczach. Ich nie dało się ukryć pod ubraniem.

Rozczarowana, odwróciła się od lustra. Dlaczego właściwie wydawało jej się, że stanie się dziś piękna? Przecież to dziecinne. Była więc i brzydka, i dziecinna. Na domiar złego nie mogła po prostu wybiec do ogrodu, żeby się wypłakać, jak te wszystkie tragiczne bohaterki jej ulubionych książek. Została przecież uprowadzona. Tak, nie dało się inaczej nazwać tego, co zrobili jej rodzice – już od tygodnia siedziała zamknięta w kajucie statku RMS Olympic, daleko od domu, gdzieś pośrodku zimnego Atlantyku.

Nikt nie pytał jej o zdanie. Miała jedno popołudnie na spakowanie wszystkich swoich rzeczy, a dwanaście godzin później była już w drodze do Nowego Domu, otoczona z każdej strony przez niepokojąco ciemny ocean. Była wystraszona i zdezorientowana. Tylko jedno wydawało się pewne: od tej pory nie mieszkała już przy Burnbrick Street, jednej z najwspanialszych ulic w Londynie. Za parę godzin znajdzie się gdzieś daleko na zachodzie, na innym kontynencie. Ojciec powiedział, że *tylko tam* będą bezpieczni przed wojną.

Zoe nie wierzyła, żeby wojna mogła dotrzeć do Londynu. Przez całe życie nie widziała w swojej okolicy nic, co mogłaby nazwać brzydkim – Burnbrick Street była ulicą wielkich białych domów o świetlistych oknach, wspaniałych ogrodów i przyszyżonych żywopłotów. Tam nie istniały problemy zwykłego świata. Nie, wojna na pewno nie dotarłaby na tę ulicę. To było niemożliwe.

Mimo to ojciec wybrał Kanadę.

Zoe nie wytrzymała. W przypływie rozpaczyny zerwała się z miejsca, podbiegła do drzwi i chwyciła za klamkę, ale... wcale ich nie otworzyła. Nie miała odwagi. W jej głowie natychmiast zawirowały ostre słowa matki: *Pod żadnym pozorem stąd nie wychodź. Jeszcze cię ktoś zobaczy.*

Mimo że naprawdę starała się ukrywać wszystkie wybielone części ciała, matka zawsze patrzyła na nią w taki sposób, jakby wcale nie była zadowolona z efektu.

– Kiedy będą nazywać cię albinoską, pamiętaj, że to nieprawda – powtarzała córce, jakby sama siebie przekonywała do tych słów. – To tylko parę białych plam.

I tak było w porządku. Tak było bezpiecznie. Zoe posłusznie ukrywała swoje plamy, zakładając kapelusze i rękawiczki.

– Zoe, nie garb się.

I Zoe natychmiast prostowała plecy.

– Nie dotykaj tego.

Zoe nie ruszyła palcem.

– Chodź tu.

Zoe przychodziła.

Jednak dziś, dokładnie w dniu jej siedemnastych urodzin, coś się zmieniło. Stało się to w momencie, gdy wypowiedziała na głos to okropne przekleństwo. Jej dusza drgnęła wtedy gwałtownie, jakby nagle zorientowała się, że było jej jakoś... niewygodnie. Zoe zmarszczyła brwi. Coś tu było nie tak. Sprawiało, że nie miała odwagi nacisnąć klamki i wyjść na górny pokład.

Co ją tak przerażało? Ciekawscy ludzie? Zawstydzona matka? Czy może ona sama? A może to ojciec, którego dotychczas widziała jedynie dwa razy do roku, a którego będzie teraz widywać codziennie?

Nie umiała się zdecydować, co było najgorsze. Od dziecka bała się wszystkiego. Była więc dziecinna, brzydka i strachliwa.

Zacisnęła zęby i, na przekór swoim myślom, uchyliła ostrożnie drzwi kajuty. Natychmiast uderzyło w nią ostre, rześkie powietrze, ale nie cofnęła się – musiała zobaczyć swój Nowy Dom. Po cichu, najciszej jak pozwalały jej na to twarde obcasiki eleganckich butów, podbiegła do barierki, chwyciła ją i się wychyliła.

W oddali zobaczyła podłużny, szarawy brzeg. To była Kanada. Mignęło światelko latarni morskiej. Byli już naprawdę blisko.

– Jaka prędkość?

Zoe znieruchomiała.

– Dwanaście węzłów, sir.

Odwróciła się. Kapitan Magellan szedł ku niej szybkim krokiem, a za nim biegło dwóch młodych oficerów. Wszyscy trzej mieli na sobie sztywne mundury, jednak mundur ojca był o wiele wspanialszy, bardziej granatowy i cały obsypany złotymi naszywkami. Zoe nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek widziała go w zwykłym, cywilnym ubraniu.

– Dlaczego nie śpisz, słońce? – zapytał, mijając ją tak szybko, że nie zdążyła nawet otworzyć ust.

Jeden z oficerów odwrócił się ukradkiem, by spojrzeć na córkę kapitana, *tę dziwną Śniegowłosą*, ale nie było jej już na pokładzie. Schowała się w swojej pięknej kajucie pierwszej klasy. Westchnął tylko, a drugi oficer popukał się w czoło na znak o tym, co myślał o wzdychaniu za tą dziewczyną.

*

Kapitan Magellan bardzo kochał córkę. Nie wiedział jednak, jak powinno się rozmawiać z córkami. Ani z żonami. I Zoe, i Matilda były dla niego wielką tajemnicą, której za nic nie mógł zrozumieć.

W zasadzie to kapitan nie miał tylko jednego dziecka; dzisiaj liczył ich sobie ponad dziewięćset, każde z nich w granatowym mundurze. Marynarze rzeczywiście czuli się z nim bezpiecznie. Nic dziwnego – wierzyli, że Magellana chroniły najprawdziwsze anioły albo jakiś potężny czar, który nie pozwalał, aby stała mu się krzywda. Przecież jeszcze ani jeden statek pod jego dowództwem się nie rozbił. Świat pokochał go za to, że przez trzydzieści lat swojej kariery nie miał żadnych strat w ludziach. Jego chłopcy nie bali się niczego, bo byli pewni, że wrócą do domu. Właśnie dzięki temu zyskał sobie miano Ojca Nieśmiertelnych.

– Było zbyt spokojnie. – Kapitan usłyszał nagle, gdy dwaj nowi majtkowie wynosili drewniane skrzynki z prowiantem na górny pokład. – Widziałeś kiedyś taką wodę?

– Prawie się można przeglądać – odparł drugi, śmiejąc się nerwowo i o mało nie potykając przy tym o własne nogi.

Zamyślony Joseph oparł się o zimną barierkę. Spojrzał w fale oceanu, przez które przedzierał się już od tygodnia – zmarszczone, szarpane wiatrem i groźne. Poczuł, jak jego dłonie zaczęły zaciskać się na barierce coraz mocniej i mocniej, zupełnie jakby się czegoś... Jezu, jak on miał nazwać to dziwne, miazdzące uczucie w klatce piersiowej, nad którym nie potrafił zapanować? Czyżby to był... strach?

Joseph Magellan pamiętał tylko trzy sytuacje w swoim życiu, w których rzeczywiście się bał. Bał się, gdy omal nie wypadł za burtę swojego pierwszego żaglowca. Bał się, gdy usłyszał o zatonięciu wielkiego Titanica. A trzecia taka chwila miała się wydarzyć właśnie teraz – czuł, jak w jego sercu powoli, powolutku kiełkowały pierwsze pędy lęku.

Spojrzał z bólem na latarnię morską, która prowadziła ich do brzegu. Błyskała do niego co chwilę radosnym, pełnym nadziei światłem, zachęcając, by kierował statek w stronę lądu. Na tej nowej ziemi Joseph i jego rodzina mieli zacząć żyć od nowa. Już za kilka dni Matilda i Zoe będą bezpieczne, schowane na zapomnianej Wyspie Księcia Edwarda. Kapitan wybrał ją specjalnie – nie umiał sobie wyobrazić, żeby wojna dotarła do tak małej wioski rybackiej, jaką było Bear Harbor.

Co prawda wojna jeszcze nie wybuchła, ale czuł, że katastrofa była tylko kwestią czasu. Nie mógł czekać, aż zawyją syreny. Musiał wszystko

zaplanować wcześniej, o wiele wcześniej, tak aby nikomu nie przyszło nawet do głowy, że uciekają. Wszyscy na Burnbrick Street myśleli, że Magellanowie wrócą z tej wyprawy za miesiąc, góra dwa. Nikt nie przypuszczał, że Joseph mógłby kupić w Kanadzie kawałek ziemi, a razem z nią – dom.

Matilda była na niego wściekła od samego początku. Wiedziała, że *ten dom* był co prawda duży, ale podobno bardzo stary i postawiony osobno, daleko od innych domów i portu. To oznaczało, że ich najbliższym sąsiadem będzie latarnik. Jak ona mogła spać spokojnie, mając świadomość, że odtąd będzie budzić się wśród plebsu?

– Sir?

Obejrzał się przez ramię. Za nim stali jego chłopcy i czekali na rozkazy, wpatrując się w niego z ufnością. Olympic był gotowy, by wejść do portu w Halifax.

Joseph natychmiast opanował swoje rozedrgane emocje. Nie mógł im pokazać, że się wahał. Jeśli chcieli przeżyć, czar musiał trwać.

*

– Założy panienka kapelusz i nic nie będzie widać!

Zoe skrzywiła się, gdy Judith Clarke po raz kolejny szarpnęła ją za białe kosmyki włosów. Opiekunka nigdy nie była delikatna. Teraz skręcała jej warkocz w ciasny kok, aby ukryć go pod kapeluszem.

– Muszę – mruknęła Zoe.

– Absolutnie – oznajmiła dramatycznym tonem panna Clarke, myśląc, że odpowiada na pytanie. – Na wsi ludzie mówią dokładnie to, co myślą. A nawet zanim pomyślą, wiem to z doświadczenia, moja droga.

Zoe w to nie wątpiła. Zagryzła usta. Nie dlatego, że bolało ją wplatanie we fryzurę niebieskiej wstążki – w końcu prawdziwie i ostatecznie dotarło do niej, że przeprowadzka na inny kontynent wydarzyła się naprawdę. Byli na morzu już dziesięć dni. Ostatnie trzy spędzili na małym statku ojca – Cherrie – który miał ich zabrać z Halifax prosto na Wyspę Księcia Edwarda. Nie było stąd żadnej drogi ucieczki. Wiedziała, że już za chwilę zobaczy prawdziwy świat i prawdziwych ludzi, którzy *mówią dokładnie to, co myślą*.

– Niech się panienka nie martwi, źle nie będzie. Powietrze na wsi jest zdrowe, nie to, co w Londynie. Może nawet nabierze panienka rumieńców. A do tych włosów wszyscy się kiedyś przyzwyczają – powiedziała Judith,

zakładając jej na głowę śliczny, bardzo drogi francuski kapelusik. Matilda nie szczędziła pieniędzy na ubrania, które ukrywały dziwność jej córki. Przeciwnie, Zoe miała ich o wiele więcej, niż potrzebowała.

– Proszę! – dodała Judith, zwracając się do odbicia dziewczyny w okrągłym lustrze na szafie. – Idealnie. Żadnego kosmyka!

Zoe patrzyła na siebie jak na kogoś obcego. Widziała w tafli szkła znajomą Zoe Magellan, ale to wcale nie była *ona*. To była blada, porcelanowa lalka o wielkich błękitnych oczach, uwięziona w ciasnej sukience i kapeluszu, który miał zakrywać jej twarz.

– Niech się panienka pośpieszy, bo za kilka minut schodzimy na ląd – rzekła Judith, bez wysiłku chwytając w dłonie dwie wielkie walizki.

Kiedy wyszła z kajuty, Zoe wyjęła spod kapelusza jeden cienki, biały kosmyk włosów.

*

Bear Harbor leżało na jednym z wysokich klifów, które czerwoną ziemią wpadały prosto do Atlantyku. Była to maleńka i samotna wieś – wyglądała tak, jakby czas zatrzymał się w niej już parę dekad temu. Zoe nigdy wcześniej nie słyszała o Bear Harbor, ale Judith powiedziała jej, że było położone o pół dnia drogi od prawdziwego świata.

Port był podłużny, szarawy i śmierdzący świeżym połowem. Wokół roilo się od krzywych straganów i starych, odrapanych z farby domków rybackich. Gdy Zoe zobaczyła to miejsce po raz pierwszy, z przerażeniem stwierdziła, że *głucha wieś*, o której dotychczas słyszała tylko w opowieściach, istniała naprawdę. Zauważyła też, że niektórzy z miejscowych zebrali się już na kamiennym moło, aby dokładnie im się przyjrzeć – stali tam, formując ciasne stado. Śledzili uważnie każdy ruch Magellanów.

– Witajcie w Bear Harbor – oznajmił Joseph, stawiając pierwszy krok na twardym betonie. Powiedział to nieco zbyt głośno. Zakaszłał. Nie śmiał nawet spojrzeć w kierunku żony – Matilda milczała wymownie, rozglądając się dookoła ze wstrętem. Wysunęła do przodu dolną wargę. Zoe wiedziała, że kiedy matka tak robiła, była naprawdę wściekła.

Stado miejscowych rozstało się na boki. Magellanowie i Judith Clarke przeszli przez moło milczącym korowodem, jedno za drugim, obserwowani przez dziesiątki podejrzliwych oczu. W końcu zatrzymali się na deptaku.

Wokół nich piętrzyła się cała masa waliz i kufrów, oddzielająca ich od tego obcego świata niczym mur.

Nie pasowali tu. To było widać od razu – ich ubrania były nowe, lepsze, bardziej kolorowe, paznokcie czyste i zadbane, a w oczach mieli jakiś dziwny błysk, który mówił, że nigdy jeszcze nie zaznali ani zimna, ani głodu. Mieszkańcy Bear Harbor dostrzegali to i przyglądali im się z wrogą zazdrością w sercach. Nie śmieli jednak rzucić w ich kierunku choćby jednego przykrego słowa. Doskonale wiedzieli, kim był ten pan w granatowym mundurze – w Bear Harbor od trzech tygodni mówiło się tylko o nim i o tym, kiedy w końcu przybędzie. Każdy port słyszał przecież o Ojcu Nieśmiertelnych. Niektórzy słyszeli też historie o jego córce, *tej dziwnej Śniegowłosej*, ale każda z tych opowieści była inna. Teraz nareszcie mogli się przekonać, kim ci ludzie byli naprawdę.

Matilda ostentacyjnie przyłożyła do nosa jedwabną chustkę.

– Już zamówiłem dorożkę – rzekł Joseph, który postanowił nie tracić zimnej krwi w obecności własnej żony. Przecież w rzeczywistości jemu naprawdę się tu podobało. Atlantyk rozbijał się o portowe klify, wiatr robił się coraz cieplejszy, zwiastując wczesne lato, a z daleka czuć było zapach sosen. Tak, Bear Harbor podobało się Magellanowi. Wojna nie mogła dotrzeć w takie miejsce. To było niemożliwe.

– Dorożka miała już tu na nas czekać – rzuciła ostro pani Magellan.

– Na pewno zaraz przyjedzie.

– Ciekawe, gdzie się podziewa, przecież tę wieś można objechać trzy razy w ciągu dziesięciu minut!

Przechodzący obok ludzie popatrzyli na Matildę spode łba, jednak twarz kapitana nawet nie drgnęła.

– Uwierz mi, że nie – odparł cierpliwie.

– Będę naprawdę zadowolona, jeśli przyjedzie prawdziwa dorożka, a nie wóz z sianem – oznajmiła dobitnie Matilda, i to takim tonem, jakby taka opcja była całkiem możliwa.

Stary rybak, który przechodził obok i akurat usłyszał jej słowa, splunął znienacka pod nogi, dosyć blisko skraju sukni pani Magellan. Matilda cofnęła się natychmiast, chwyciła ramię męża i skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Dlaczego nie Toronto, Josephie? – wyszeptała. – Przecież miałeś wybór. Toronto albo... to – dodała, robiąc w powietrzu nieokreślony, rozpaczliwy ruch. – Myślę, że popełniliśmy błąd, przypluwając tutaj. Potworny błąd.

Zza straganu z ziemniakami wychyliła się ostrożnie czarna, rozczochrana chmura włosów. Czujne oczy zabłyszczały gniewnie i zmierzyły Magellanów od stóp do głów.

Tak jak wszyscy wiedziała doskonale, że ma tu przyplłynąć wielki kapitan Magellan, ale nie sądziła, że przywiezie on ze sobą *aż trzy* kobiety. Musiała to być jego najbliższa rodzina, inaczej nie odważyłby się stać tak blisko nich. Tak, żona, córka, a tuż za nią... służąca? Ale po co im służąca, tu, w Bear Harbor? Przecież...

Aż prychnęła ze niedowierzaniem. No tak! Teraz już rozumiała, dlaczego ze starego domu za Lasem Clifforda zniknęła tabliczka „na sprzedaż”! To oni mieli się do niego wprowadzić! Nikogo innego nie byłoby przecież na to stać. A nawet jeśli, to i tak nikt by się na to nie odważył.

Stwierdziła, że Magellanowie musieli być albo bardzo głupi, albo po prostu ktoś ich oszukał. W starym Sand Castle przecież straszło. A żeby zamieszkać w domu, w którym straszy, trzeba być albo niespełna rozumu, albo, co gorsza, niewierzącym. Obie te rzeczy były w jej oczach niewybaczalne.

Przyjrzała im się jeszcze dokładniej. Byli *inni*. Ubrani jak rodzina królewska. Nigdy wprawdzie nie widziała żadnej rodziny królewskiej, ale tak właśnie ją sobie wyobrażała. Temu panu w mundurze brakowało tylko korony i płaszcza, żeby wyglądał jak Król. Jego żona nie potrzebowała nawet tego – jej oburzona mina mówiła wszystko aż zbyt wymownie. Stała wyprostowana, jakby nabiła się na kij od miotły. Służąca zerknęła na nią co chwilę ze strachem w oczach, jakby spodziewała się, że Królowa dostanie zaraz jakiegoś ataku szału.

Tuż obok stała jeszcze jedna osóbką. Córka Króla i Królowej, mała i trochę wystraszona Królewna. Ona była najdziwniejsza, cała ubrana od stóp do głów, jakby było jej zimno. Przez to, że kapelusz zasłaniał jej pół twarzy, nie widać było rysów. Strasznie zaciekało ją, czy obca była brzydka. Choć, to było chyba niemożliwe. Królowy nigdy nie są brzydkie. Ile mogła mieć lat? Czy była w jej wieku? Wychyliła się jeszcze bardziej – tak, prawdopodobnie, chociaż była strasznie chuda. Miała tak proste plecy, jak jej matka. Ale... czy aby na pewno to była *jej matka*? Ta dziewczyna była blada jak śnieg. Prawie przezroczysta, jak cień człowieka. I zupełnie niepodobna do kogokolwiek z obcych. Może Królowa adoptowała ją z jakiegoś przytułku.

Dopiero po chwili zauważyła, że Królowna uniosła z ziemi swój błękitny wzrok i patrzyła teraz prosto na nią.

*

Zoe zauważyła ją od razu. Na pewno nie była stąd – miała śniadą cerę, czarne jak węgle, zuchwałe oczy, gęste brwi i czerwone, pełne usta. Na ramiona spływały jej całe kaskady gęstych, hebanowych loków. Wyglądała egzotycznie. Była naprawdę piękna. Zoe przyjrzała jej się jeszcze dokładniej – może ona też była tu obca? Ale nie... raczej nie. Ludzie nie patrzyli na Czarnowłosą takim wzrokiem, jak na nią. Pomimo swojego odmiennego wyglądu, ona była *jedną z nich*.

Czarnowłosa zauważyła w końcu, że była obserwowana. W jednej chwili zerwała się na równe nogi i wyszła szybko zza straganu, jakby wcale nie została przyłapana na podglądaniu. Ruszyła przed siebie pewnym krokiem, nie zwracając już na Magellanów najmniejszej uwagi.

Zoe przeraziła się, kiedy zobaczyła jej ubranie. Zbyt mała, zielona sukienka w paski opinała nieprzyzwoicie jej młode, kształtne ciało, była zupełnie zniszczona i o wiele za krótka jak na jej wiek – kończyła się na gołym i trochę brudnym kolanie. Po chwili wytrzeszczyła oczy jeszcze bardziej: ta dziewczyna nie miała pończoch. Ani butów. Była zupełnie bosa.

– Przyjrzyj jej się dobrze, Zoe – odezwała się ostentacyjnie Matilda. Zmrużyła powieki i z obrzydzeniem objęła Czarnowłosą wzrokiem, od boscych stóp aż po rozczochraną głowę. – Właśnie z takimi jak *ta tutaj* nie wolno ci rozmawiać. Nie pozwolę, żebyś schamiała.

Zoe wstrzymała oddech.

– Poza tym mogłabyś nabawić się wszy – dodała jeszcze Matilda. Powiedziała to takim tonem, jakby taka opcja była czymś oczywistym.

Nie, nie, nie – pomyślała oniemiała ze zgrozy Zoe. Stała bez ruchu, jakby ktoś ją spoliczkował. Nie, to przecież nie mógł być głos jej matki! Nawet ona nie powiedziałaby czegoś takiego!

Wtedy Joseph Magellan odwrócił się do żony i wbił pełen bólu wzrok w jej twarz.

– Błagam cię, przestań – powiedział bezgłośnie.

Matilda nie dała po sobie poznać, że poczuła cokolwiek. Z udawaną obojętnością wpatrzyła się w horyzont. Zamilkła, obrażona.

Zoe rozejrzała się nerwowo za Czarnowłosa, ale już jej nie znalazła. Nie było jej za straganem ani przy kołyszących się na wodzie żagliówkach. Zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu.

Usłyszała – przemknęło Zoe przez głowę. Na pewno usłyszała.

Ze wstydu i zażenowania wbiła wzrok w ziemię. Cóż, świetny początek.

*

Może i Czarnowłosa nie usłyszała, ale za to on – tak. Patrzył na Magellanów osłupiały, jakby ktoś odsłonił przed nim brudny sekret. Kręcąc głową, włożył między zęby niezapalonego papierosa. Ze złości przygryzł go tak mocno, aż poczuł na języku gorzki smak tytoniu.

Nie tego się spodziewał po ich owianym legendą nazwisku. Dotąd wyobrażał sobie, że Magellanowie musieli być naprawdę niezwykli, niemal boscy, tak jak w tych wszystkich portowych opowieściach, które każdy znał na pamięć. Od kiedy tylko pamiętał, marzył o tym, żeby stanąć na pokładzie statku tego sławnego kapitana, Ojca Nieśmiertelnych... a teraz? W jednej chwili stracił na to najmniejszą ochotę. Poczuł, że jego żołądek aż ścisnął się od bolesnego rozczarowania. No bo co to niby miało być? Dlaczego żona Magellana miała prawo mówić o nich takie rzeczy, i to na samym wstępie? Przecież wiadomo, że nie miała na myśli *tylko* Czarnowłosej. Ona brzydziła się całym Bear Harbor i wszystkimi, którzy w nim żyli. Kapitan nie wydawał się być tym bardzo poruszony. Cóż, widocznie srogo pomylił się w osądzie tego człowieka. Prychnął pod nosem pogardliwie, a potem wpatrzył się w horyzont, jak zresztą wszyscy wokół – spojrzał na kołyszący się na dalekich falach parowiec.

– Zobacz, jaki stateczek – mruknął cicho do swojego konia, klepiąc go po szyi. Oczy aż zaświeciły mu z zachwyty. Po chwili jednak odchrząknął i dodał, jakby od niechcenia: – Całkiem zgrabny, jak na Anglika.

Westchnął. W gruncie rzeczy to miał już dość tej całej Magellanowskiej nedorzecznosci. Tego ranka w porcie aż roilo się od rzeczy, których nie miał prawa dotknąć, a może nawet patrzeć na nie – ten statek, te ich ubrania, kapelusze, rękawiczki (kto, do cholery, nosi w porcie rękawiczki?) te wszystkie walizy wypełnione przedmiotami, o których dotąd czytał tylko w książkach... Tak, czas wracać do domu. Jego matka i tak już pewnie umierała ze strachu – nie powiedział jej, że wychodzi. Prawdopodobnie myślała, że jej syn nadal czyścił kręte schody ich małej latarni morskiej, jak co

sobotę. Musiał wrócić po kryjomu, zanim zauważy jego nieobecność. Nie chciał narażać się na jej płacz.

Schował papierosa za ucho, jednym ruchem wskoczył na konia, a potem ruszył stępem między stłoczonymi w porcie ludźmi. Mógłby przejechać bokiem, ścieżką za domkami rybaków, ale nie zrobił tego; wołał przecisnąć się przez sam środek, aby przyjrzeć się kapitanowi i jego żonie z bliska. Nic nie mógł na to poradzić – tym razem jego ciekawość była o wiele silniejsza niż duma.

Cóż, nie udało mu się to. Gdy ich mijał, jego wzrok przykuło coś innego – mała, chuda osóbką w błękitnej sukience, stojąca nieco z brzegu ich ciasnej gromadki. To śmieszne, ale wcześniej wcale jej nie zauważył. O rany, to musiała być *ta dziwna Śniegowłosa*, ich córka. Cała była schowana pod warstwami ubrań. Nie było widać nawet twarzy. Zasłaniał ją płaski, obasypany kwieciami kapelusz. Ciekawe, czy była taka brzydka, jak mówili? – zastanowił się przez chwilę. Schylił nieco głowę, aby dostrzec chociaż skrawek śnieżnych włosów...

W tym samym momencie dziewczyna uniosła wzrok i spojrzała prosto na niego. Zaniemówił na chwilę. Boże, jak niedorzecznie niebieskie były jej oczy. One były tak niebieskie, że niemal go zaślepiły. Zamrugał. Dopiero po chwili zorientował się, że wciąż nie miał pojęcia, czy ta cała Śniegowłosa była brzydka, czy nie – nie zdążył tego ocenić. Prychnął cicho, śmiejąc się ze swojej głupoty. Sekundę później wjechał na ziemistą ścieżkę, która prowadziła prosto do latarni.

*

Zoe zauważyła go już wcześniej. Przez cały czas stał nieco odsunięty od reszty zazdrosnych gapiów, rozprawiających szeptem o majątku jej ojca. Przykuł jej wzrok, bo jako jedyny wśród nich się nie odzywał ani nie wskazywał statku palcem. Brwi miał ściągnięte, oczy przymrużone podejrzliwie, a w ustach gryzł niezapalonego papierosa. Trzymał za ogłowie konia o szarej, gładkiej sierści.

Zoe otrząsnęła się szybko, odpychając od siebie uczucie *déjà vu*. Dlaczego miała wrażenie, że kiedyś już spotkała tego mężczyznę? Była przekonana, że gdzieś już widziała te ciemnozłote włosy, charakterystyczny prosty nos, te ciężkie dłonie...

Ach, tak – przypomniała sobie. Natychmiast skrzywiła się z niesmakiem. On wyglądał zupełnie jak jeden z chłopców z Burnbrick Street, którzy stali się o jej rękę – jak Charles Roosevelt! Z daleka był niemal jego bratem bliźniakiem.

Wzdrygnęła się. Nienawidziła Charlesa Roosevelta. Do dziś pamiętała, w jaki sposób na nią patrzył – z nutą litości i obrzydzenia jednocześnie. Gdy przychodził do jej domu, Zoe nie odzywała się do niego ani słowem. Bała się, że on rzeczywiście mógłby się z nią ożenić. Nie była głupia i wiedziała, że majątek jej ojca potrafił przyćmić wiele niewygodnych rzeczy, nawet tę jej wyblakłą dziwność. Cóż... może to jednak dobrze, że wyjechali tak daleko?

Spojrzała ukradkiem na chłopaka jeszcze raz. Tak, on bez wątpienia wyglądał jak Charles. A raczej... jak jego biedniejsza wersja. Zamiast idealnie skrojonego garnituru i kaszmirowego płaszcza miał na sobie jedynie brzydką, połataną koszulę z rozpiętym niedbale kołnierzykiem i stare spodnie na szelkach, na pewno po starszym bracie. Jego skóra była opalona, jak u robotnika, a dłonie zhardziały od pracy. Cały czas mrużył oczy, jakby raziło go słońce. Zoe patrzyła z zaciekawieniem, jak motana wiatrem koszula układała się na jego szerokich ramionach. Nigdy wcześniej nie widziała przecież męskich ramion w *samej koszuli*.

W końcu Charles wyjął papierosa spomiędzy zębów, włożył go sobie za ucho, a potem jednym ruchem wskoczył na szarego konia. Zoe obserwowała, jak zręcznie kierował zwierzęciem, niemal nie dotykając wodzy. Musiał być wyśmienitym jeźdźcem.

Kiedy mijał rodzinę Magellanów, spojrzał prosto na nią, jak gdyby odgadł jej myśli. Obejrzał ją uważnie od stóp do głów, niczym jakieś zabawne zwierzątko, a potem prychnął z pogardliwym uśmiechem na ustach. Zupełnie jakby dawał jej do zrozumienia, że ona nigdy się tu nie wpasuje. Że nie miała na to najmniejszych szans. Przyśpieszył do klusa, a po chwili zniknął na ścieżce za straganami.

Zoe poczuła ogień na policzkach.

Ale... dlaczego? Co ona mu takiego zrobiła...?

– O, dorożka! – zawołała nagle radośnie matka Zoe. Wepchnęła swoją torebkę podróżną w ramiona panny Clarke i stanęła na drodze. – Rychło w czas – dodała po chwili zimno, aby nikt nie mógł przypuszczać, że naprawdę się ucieszyła.

ROZDZIAŁ II



Sztorm

Dorożki były dwie: jedna upchana kuframi i walizami, a druga, ta mniejsza i bardziej zużyta – Magellanami. Musieli siedzieć bardzo blisko siebie, co okazało się o wiele trudniejsze, niż przypuszczali; nikt się nie odzywał i nagle zrobiło się bardzo niezręcznie. Zoe skuliła się i przywarła mocno do boku ojca – wolą dotknąć jego niż matkę. Mimo że patrzyła w przeciwnym kierunku, wciąż słyszała wyraźnie jej głośny i pełen wściekłości oddech.

Bagażowy, rudawy chłopak o błyszczących, ciemnych oczach, wychylił się ze swojego zydla i spojrzał nieufnie na granatowy mundur kapitana Magellana. Zmrużył powieki.

– Umie pan powozić? – zapytał bez cienia sarkazmu.

Joseph poruszył się niespokojnie.

– Co to za pytanie? – obruszył się, chociaż czuł, że odpowiedział zbyt wolno. Spojrzał na chłopaka i zacisnął usta. Nie mógł być starszy niż jego córka. – Oczywiście, że tak.

– No, to nie ma problemu. Ja pojedę pierwszy, a pan za mną, poprowadzę – oznajmił bagażowy, a potem cmoknął na swojego konia i wyprzedził ich powozikiem z kuframi. Magellan patrzył na jego ruchy, próbując je zapamiętać.

Zoe wiedziała, że ojciec nie potrafił powozić. Mógł kierować największymi transatlantykami i parowcami, kiedyś chciano nawet, żeby został kapitanem wspaniałego Titanica, ale... za nic w świecie nie dowiozłby ich teraz na miejsce. Nigdy nie miał ręki do koni.

– Pan pozwoli, że ja... – zaczęła niepewnie Judith, kiedy Magellan bez słowa siedział z wodzami w zastygłych dłoniach. – Ja nas zawiozę. W końcu od czegoś tu jestem.

Joseph nie był głupi. Oddał jej skórzane wodze i się zaczerwienił. Wbił zawstydzony wzrok w horyzont. Nie patrzył już na nikogo, a w szczególności omijał wzrokiem Matildę, od której biła teraz głucha, zasysająca cisza.

Jechali pełną drogą, jedyną w okolicy, wzdłuż czerwonych klifów. Po jednej stronie zieleniły się przetykane złotem pola, a po drugiej rozciągał się szary Atlantyk. Woda szumiała groźnie, jak gdyby mówiła obcym, żeby mieli się na baczości. Zoe wpatrywała się w jej poszarpane fale, zastanawiając się, czy aby na pewno nie śniła. Może to był tylko sen? To niemożliwe, aby to wszystko działało się naprawdę. Ona przecież mieszkała na Burnbrick Street, a nie tutaj. *Tutaj nie było nic.*

Judith Clarke rozejrzała się nerwowo dookoła.

– Cóż, przynajmniej nie będziemy mieć problemu z sąsiadami – mruknęła.

Kiedy mijali latarnię morską, zrównali się na ścieżce z powozikiem bagażowego. Ten, widząc, że dorożką Magellanów powoziła kobieta, uśmiechnął się do siebie, rozbawiony.

– Tu stoi Bear Tower – oznajmił wesoło, a potem wskazał głową na małą latarnię koloru świeżego mleka. Przybrał ton przewodnika. – Działa już ponad sto lat. A Sand Castle jest tam, za tym małym laskiem kasztanowym, na samym końcu drogi. Sand Castle, czyli dom, który kupiliście. Tak się nazywa.

Odpowiedziała mu cisza. Magellanowie nawet na niego nie spojrzeli. Tylko ich córka, cała owinięta w błękitne koronki, podniosła niepewny wzrok na Bear Tower. Sekundę później znów spuściła oczy na kolana.

– Nazywam się Casper Winslow – ciągnął niewzruszony bagażowy. Wciąż patrzył z zaciekawieniem na małą Magellankę. W tych białych włosach wyglądała zupełnie jak Królowa Śniegu ze znajomej baśni. – Mieszkam tuż za Lasem Clifforda. Jeśli chcecie, mogę was oprowadzić po okolicy.

– Nie, dziękujemy. I tak chyba widzieliśmy już *wszystko* – syknęła Matilda niecierpliwie.

– Może i wszystko, oprócz własnego domu – odciął się ze śmiechem Casper.

Zoe zdziwiła się. W jego głosie nie usłyszała ani cienia strachu. Spojrzała na niego. Wyglądał na jej rówieśnika; był prawie przystojny, piegowaty

i szeroko uśmiechnięty. Miał rudawe włosy, kaszkiet i kraciatą koszulę. Jego oczy wyglądały na bystre. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Zoe natychmiast odwróciła wzrok, czując, że jej policzki zapłonęły niebezpieczną czerwienią. Casper zauważył to. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Sand Castle jest bardzo stary. Nikt w nim nie mieszkał od bardzo dawna – ciągnął, nie zwracając już uwagi, czy oprócz dziewczyny ktoś jeszcze go słuchał. – Nazywa się tak, bo jest murowany, jako jedyny w miasteczku. Jest naprawdę wielki. Podobno nawiedzony. Chodzi tam duch jakiejś kobiety. Ja tam w to nie wierzę, ale wszyscy tak mówią. – Znowu zerknął na Zoe. Patrzyła w drugą stronę, na ocean. Nie zniechęcił się jednak i mówił dalej: – Na piętrze jest mała wieża, zamknięta od środka. Albo nawet bez drzwi...? Nie pamiętam. Malarz, który tam mieszkał... bo musicie wiedzieć, że w tym domu mieszkał kiedyś jakiś sławny artysta malarz... kazał pewnego dnia dobudować do jednego z pokoi wieżę, dla swojej żony. Podobno ją tam zamykał, a ona przez to oszalała. I potem się zabiła. Dlatego mówi się, że chodzi tam jej duch.

Zoe spojrzała na chłopaka okrągłymi oczami. Niewiele zrozumiała z tego, co powiedział, ale nagle wydało jej się to niezwykle doniosłe. Casper uśmiechnął się, widząc, że w końcu zrobił na niej wrażenie. Pokiwał głową i dodał:

– Tak, wiem. A to wcale nie jest najgorsze.

– A co może być gorsze? – zapytała głośno Matilda takim tonem, że nawet Casprowi na chwilę zrzędała mina. Chłopak uniósł ciemne brwi i się skrzywił.

– No, te jego obrazy. Wszystkie to portrety niedźwiedzi. Bardzo to dziwne, że malował tylko niedźwiedzie. Wiszą na ścianach w każdym pokoju. Są ich setki, nawet z okien widać... – tu na chwilę się zawahał – ...to znaczy, tak tylko słyszałem. Mówią też, że rzeźbił zwierzęta z czarnego kamienia. To akurat święta prawda, sam je widziałem, stoją w całym miasteczku.

– Po co ktoś miałby robić takie głupie rzeczy? – prychnęła nagle Judith. Nie potrafiła sobie wyobrazić ich nowego, dziwaczного domu. – I jak się niby nazywał ten twój *sławny artysta malarz*, jeśli można wiedzieć?

Casper wzruszył ramionami.

– Ja tam od koni jestem. Nie znam się na sztuce. Poza tym to było tak dawno, że nikt już o nim nie pamięta.

Matilda popatrzyła na męża ze zgrozą. Niedźwiedzie? Setki niedźwiedzi w ich nowym domu? Zwierzęta z czarnego kamienia? Co to miało znaczyć?!

– Wiedziałeś o tym wszystkim? – syknęła.

Joseph zakaszlał nerwowo.

– Nie.

– A to jeszcze nic – zaczął znów Casper z entuzjazmem, a zrezygnowany kapitan zamknął oczy i zaczął liczyć w myślach do dziesięciu. Casper w ogóle tego nie zauważył. – Dom jest cały zarośnięty. Bluszcz od północnej ściany podobno żyje własnym życiem. Dookoła Sand Castle rośnie *istna dżungla*.

Zoe uświadomiła sobie, że nie może się doczekać, żeby zobaczyć swój Nowy Dom.

*

Rodzina Magellanów i Judith Clarke stali przed Sand Castle w równym rzędzie i patrzyli na dom w milczeniu.

Nie wydawał się nawiedzony. Nie był nawet tak bardzo zarośnięty, jak mówił Casper. W wielkim ogrodzie pracowali już ogrodnicy, a w środku krzątały się ciche i zwinne pokojówki – Joseph zadbał o to wcześniej. Był to elegancki, bardzo duży i bardzo stary dom z wieżą. Niezwykły, z pokazowymi oknami, w angielskim stylu. Nic więcej. Nawet Matilda sprawiała przez chwilę wrażenie rozczarowanej. Tylko gęsty bluszcz na północnych ścianach wzbudzał wątpliwości; nie wiadomo, co się w nim kryło. Może jeszcze stado krzyczących mew na dachu małej wieży było niepokojące... jednak poza tym wszystko z Nowym Domem było w porządku. Ani śladu duchów obłąkanych ludzi.

Matilda wysunęła do przodu dolną wargę swoim zwyczajem, aby ukryć cień podekscytowania.

– Mam nadzieję, że nie zawali nam się na głowy, gdy będziemy spali – mruknęła pod nosem. Nigdy nie przyznałaby tego na głos, ale jej błękitne oczy aż zalśniły na widok dwóch smukłych kolumn i drzwi wejściowych, na których wyrzeźbiony został wielki, dostojny łeb niedźwiedzia.

*

Zoe stanęła naprzeciw ogromnego lustra w swoim nowym pokoju. W lekko zakurzonym odbiciu obserwowała rozrzucone na podłodze zeschnięte liście; tańczyły w przeciągu, zataczając na środku niewielkie koło.

Więc... to nie był sen. To naprawdę był jej nowy pokój. Duży, niebieski, ze starymi meblami i dziwnym zapachem unoszącym się w powietrzu. Trochę się bała – kiedy razem z Judith tu weszły, okno balkonowe było już otwarte.

Uśmiechnięta od ucha do ucha opiekunka w ogóle nie zauważyła tu nic dziwnego. W doskonałym humorze zmieniała właśnie pościel na wysokim łóżku.

– Ten pokój jest chyba nawet większy niż tamten poprzedni! – zawołała, kiedy już się wyprostowała. Odgarnęła siwe kosmyki ze spoconego czoła i rozejrzała się dookoła z zadowoleniem. – Ładnie, przestronnie. I ani śladu pleśni!

Zoe także się rozglądnęła. Gdy tylko się poruszyła, podłoga pod jej stopami zatrzeszczała żałośnie.

– Bagażowy miał rację, wszędzie wiszą obrazy z niedźwiedziami, zauważyła panienka? Jak szłyśmy tutaj, to naliczyłam chyba ze dwadzieścia!

Zoe naliczyła ich siedemdziesiąt jeden.

– Tylko ten nie pasuje – szczebiotała dalej Judith, wskazując pulchnym palcem wielki, ciemny obraz na jednej z niebieskich ścian. Przedstawiał gęsty las. Nic więcej. Ani jednego niedźwiedzia. Podparła się pod boki. – Same drzewa. Nie podoba mi się ten obraz. Jest zbyt mroczny. Nie rozumiem, po co marnować pieniądze na takie rzeczy.

Jakoś mnie to nie dziwi – pomyślała Zoe z irytacją.

– Panienka się w ogóle nie odzywa – stwierdziła Judith, a potem otworzyła wschodnie okno. – O, widać stąd latarnię morską. I domek latarnika tuż obok. Ależ on musi nam teraz zazdrościć, nie uważa panienka?

Błagam, bądź przez chwilę... – już zaczęła myśleć Zoe, kiedy nagle uświadomiła sobie jedną ważną rzecz.

– To tutaj powinny być drzwi do zamkniętej wieży, właśnie w tym pokoju – oznajmiła cicho. Znów rozejrzała się po pustych ścianach, szukając wzrokiem tego, co ukryte. – Ale... nie ma ich.

Judith odwróciła się przez ramię. Spojrzała na bladą ze strachu Zoe, a potem roześmiała się głośno.

– Wierzy panienka temu chłopczkowi, co? – powiedziała. – Nie trzeba... w tym wieku chłopcy nie są poważni. Przecież on chciał nas tylko nastraszyć.

Zoe nie wiedziała, co powinna o tym wszystkim myśleć. Nie była już dzieckiem – czasy, w których bała się ciemności, dawno minęły. Skąd więc u niej to nagle, ścisające żołądek uczucie niepokoju?

Cóż, może i nie wierzyła w duchy, ale o jednym była święcie przekonana: tutaj, w jej nowym pokoju, znajdowały się drzwi do wieży – tyle że schowane. Być może zamurowane, żeby nikomu nie udało się tam wejść. Wzdrygnęła się. Świadomość, że tuż za ścianą istniało miejsce, którego nie dało się zobaczyć, była przerażająca.

I bardzo, bardzo pociągająca.

*

Kolejny dzień zaważył na życiu Zoe bardziej, niż ktokolwiek mógłby się tego spodziewać. Gdyby postanowiła wtedy zostać w domu, tak jak była nauczona, jej historia mogłaby się skończyć już w tym miejscu. Sama Matilda, gdyby wiedziała, co się stanie z jej córką, nigdy pewnie nie wypuściłaby jej z pokoju. Los jednak chciał, że wydarzyło się to, co się wydarzyć musiało.

Wszystko zaczęło się od koła w wysłużonej dorożce, które już z samego rana złamało się w pół. Trzeba było udać się po zakupy do portu pieszo. Zoe postanowiła wykorzystać tę okazję.

– Może ja pójdę? – zapytała ostrożnie matkę, zakładając na głowę ciasny kapelusz. – Albo pojadę wierzchem. Byłoby szybciej. Judith bolą kolana.

Zoe tak naprawdę mało obchodziły kolana Judith. Musiała sprawdzić, jak matka zareaguje na jej słowa. Może w tym całym zamieszaniu zapomniała o zakazie jazdy konnej?

Pani Magellan siedziała przy stole pochylona nad papierami, gdzie piórem zapisywała wszystkie potrzebne jeszcze rzeczy i obliczała wydatki.

– Znasz odpowiedź – rzekła beznamiętnie po dłuższej chwili, nie podnosząc nawet wzroku.

Zabroniła córce jeździć konno już kilka lat temu. Uznała, że to dla niej zbyt niebezpieczne zajęcie. Albo zajęcie, które Zoe zbyt bardzo lubiła. Matilda stawiała się dla niej jeszcze zimniejsza, gdy dziewczyna się uśmiechała.

Kiedyś kupiła jej fortepian, myśląc, że gra na tym instrumencie będzie dla niej idealnym zajęciem. Zoe mogła wtedy siedzieć przy klawiaturze i nie pokazywać się nikomu przez długie godziny. Jednak z czasem białowłosa zaczęła grać naprawdę pięknie, tak że aż służba, słuchając jej utworów, zdawała się pracować wolniej. Kiedy Matilda to zauważyła, sprzedała fortepian, nie podając powodu.

Było tak ze wszystkim, co sprawiało, że Zoe się uśmiechała. Jeśli polubiła jakiś przedmiot, niedługo potem znikał on na zawsze. Jeśli widać było, że podobało jej się jakieś zajęcie i była w czymś naprawdę dobra, chwilę później dostawała zakaz wychodzenia ze swojego pokoju. Zoe nie rozumiała, dlaczego matka jej to robiła.

Tak właśnie było z jazdą konną. W wieku trzynastu lat Zoe zaczęła jeździć najlepiej ze wszystkich w stadninie, bez wysiłku skacząc w damskim siodle przez wysokie przeszkody. Gdy tylko matka o tym usłyszała, dzień później sprzedała jej ukochanego konia, Dotty'ego. Zoe rozpacziała po nim dłużej, niż Matilda mogłaby się spodziewać. A płacz córki, tak samo jak uśmiech – sprawiał, że matka stawała się jeszcze bardziej surowa.

– Wcale nie bolą mnie kolana. Ale niech panienka pójdzie ze mną, będzie lżej – stwierdziła pogodnie Judith.

Droga do portu była długa i wietrzna. Ani Zoe, ani Judith nie odzywały się do siebie nawet słowem. Judith milczała, bo po prostu szumiało jej w uszach, a święcie wierzyła w to, że nie wolno rzucać słów na wiatr. Zoe za to zaniemówiła ze strachu – miały właśnie białą latarnię morską Bear Tower, kiedy nagle dostrzegła znajomego, szarego konia o gładkiej sierści. Pasł się na małym pastwisku, tuż przy domku latarnika.

Nie miała żadnych wątpliwości, że był to koń Charlesa – tego bezczelnego chłopaka z portu, który prychnął pogardliwie na jej widok. Doskonale go zapamiętała. A więc to *on* miał być jej najbliższym sąsiadem...?

Serce skurczyło jej się ze wstydu i złości. Rozejrzała się szybko dookoła, jednak Charlesa nie było w pobliżu. *I dobrze*, pomyślała, zaciskając pięści. Nie miała zamiaru znosić jego upokarzającego wzroku po raz kolejny. W ogóle nie chciała mieć z nim już więcej do czynienia. Jeszcze nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie potraktował jej w taki sposób, jak on – latarnik z Bear Harbor!

Całe szczęście prócz szarego wierzchowca nie było tu żywej duszy. Zwierzę spojrzało na nią łagodnym wzrokiem, strzygąc z zaciekawieniem uszami. Zoe poczuła, jak w jej wnętrzu rozpalił się nagle malutki, ale jednak gorący ogień zazdrości.

– Dlaczego matka zabrania mi robić to, w czym jestem dobra? – mruknęła. Tak bardzo tęskniła za tym, żeby usiąść znowu w siodle.

Judith zmieszała się nagle.

– To nie do końca tak – odparła krótko.

– A jak? – zapytała Zoe, marszcząc brwi.

Sprzedała mojego konia, kiedy zaczęłam robić postępy. Jak inaczej nazwać coś takiego? – dodała jeszcze w myślach, nie ośmielając się jednak powiedzieć tego na głos.

– Dorosniesz, to zrozumiesz – odparła wymijająco Judith.

– Nie jestem już dzieckiem – oznajmiła Zoe, zirytowana, że panna Clarke wciąż tego nie zauważyła. – Od wczoraj mam siedemnaście lat.

Panna Clarke popatrzyła na dziewczynę ze zdumieniem.

– O, rzeczywiście! – wykrzyknęła, a jej twarz rozpromieniła się nieszczęrze. – Wszystkiego najlepszego! To już panienka naprawdę dorosła! A ja pamiętam, jak była mi tak o, po kolana. No naprawdę, proszę, proszę...

Zoe wiedziała, że Judith zmieniła temat celowo, żeby tylko uniknąć rozmowy o jej matce. Nigdy nie chciała o niej mówić – był to temat na tyle drażliwy, że został wpisany w niewidzialną Księgę Tematów Zakazanych. Z tego powodu Zoe nie wiedziała o swojej matce praktycznie nic. Prychnęła pod nosem, niezadowolona, że Judith w ogóle nie brała jej na poważnie.

W porcie było głośno i tłoczno. Dzieci biegały, psy szczekały, a starsze kobiety targowały się zawzięcie o jak najniższe ceny suchej kaszy. Chodziły prędko między straganami, które aż tryskały barwami i zapachami – jedne srebrne od ryb, inne czerwone od mięsa, jeszcze inne parujące wonią świeżego chleba.

Pośrodku tego całego zamieszania stała Czarnowłosa. Wciąż z gołą głową i na boso, w tej samej ciasnej i nieprzyzwoitej sukience. Śmiała się na cały głos razem z kilkoma marynarzami, kpiąc z wszelkich obowiązujących zasad.

– O, proszę. Kogo my tu mamy?

Kiedy Zoe ich zauważyła, było już za późno. Czarnowłosa dostrzegła ją pierwsza. Natychmiast przestała się śmiać, a wraz z nią ucichł też wianuszek otaczających ją chłopców. Wszyscy patrzyli teraz na tę dziwną *Śniegowłosą*, która przyszła do portu wraz ze swoją służącą.

Zoe, widząc gniewne, przeszywające ją na wylot spojrzenie Czarnowłosej, stanęła nagle jak wryta. Nie mogła zrobić kroku naprzód. Nie miała na to pozwolenia. To nie był jej teren. Ta dziewczyna pamiętała ją – a raczej słowa jej matki, pełne jadu i wstrętu. Zoe wiedziała, że potrafiły one wbić się głęboko w serce, jak małe drzazgi. Nie miała wyboru. Musiała stąd zniknąć.

– Zaraz wracam – wydusiła z siebie szybko. Ale czy Judith w ogóle ją usłyszała?

Sama nie zauważyła nawet, że zaczęła biec. Uciekła gdzieś za stragany z pieczywem, a potem rzuciła się w jedną z pustych ścieżek między domkami rybaków. Wreszcie dotarła do końca deptaka, tam, gdzie nie było już nikogo, i dopiero wtedy, wolna od wszelkich spojrzeń, odetchnęła z ulgą.

Jej policzki natychmiast zapłonęły wstydliwą czerwienią. Wiedziała, że to było bez sensu. Przecież i tak kiedyś będą musiały spotkać się twarzą w twarz – ona i Czarnowłosa. Bear Harbor było zbyt małe na takie podchody. Ich nieprzyjemne spotkanie było tylko kwestią czasu.

Byle nie dzisiaj – pomyślała. Przysiadła na brzegu, tuż za wielką beczką z linami. Spojrzała w wodę, prosto w swoje żałosne, tchórzliwe odbicie. – Dzisiaj tego nie zniosę.

Siedziała tak jeszcze długą chwilę. Nie widziała tego, co działo się za jej plecami. Nie zauważyła, że ludzi w porcie ubywało z sekundy na sekundę, ani też szarych skłębionych chmur nad horyzontem. Nie usłyszała, że ktoś krzyknął: „Idzie sztorm!”. Widziała za to Charlesa, który w pośpiechu pomagał marynarzom zwijać liny i sztaksle na jednym z żaglowców. Patrzyła, jak co chwilę odgarniał przydługie, ciemnozłote włosy za uszy, próbując uchwycić rysy jego zarozumiałej twarzy.

*

Krzyczał coś, miotany przez wiatr. Jako jedyny wśród chłopców nie był ubrany w mundur. Wydawało się, że przewyższał ją prawie o głowę, chociaż był jednym z niższych mężczyzn na pokładzie. Miał za to silne ramiona. Bez wysiłku podnosił drewniane skrzynki pełne prowiantu, jakby były z tektury.

W pewnym momencie zarzucił na plecy swoją marynarkę. Wskoczył z żagłówki i szybkim krokiem zaczął iść przed siebie, mijając skuloną za beczką Zoe. Kiedy ją zobaczył, jego ściągnięte brwi uniosły się wysoko w niemym zdziwieniu. Obejrzał się za siebie, jakby chciał się upewnić, czy to rzeczywiście ona, ale nic nie powiedział. Minął ją, a potem zniknął za pustymi straganami. Razem z nim zniknęły też owoce, zniknęło mięso i ryby, chleby, figurki, ubrania i chusty. Zniknęli ludzie.

Kiedy Zoe się odwróciła, w porcie nie było już nikogo. Szczękając zębami z zimna, rozejrzała się dookoła. Gdzie oni się podziali?

– Judith? – zawołała głośno, podnosząc się z ziemi. – Judith...?

To był właśnie moment, w którym Zoe mogła zmienić bieg wydarzeń. Mogła pobiec szybko do Sand Castle i przeprosić opiekunkę za to, że bez pozwolenia zniknęła jej z oczu. Mogła ukryć się przed nadchodzącym sztormem i nigdy nie ponieść konsekwencji tego, co się miało za chwilę wydarzyć. Mogła... ale los chciał, że tego nie zrobiła.

Jak w transie, znów spojrzała w stronę wody. Atlantyk robił wspaniałe widowisko – był ciemny, szary i rozpruty, jak jakaś mityczna bestia. Biała piana przelewała się z fali na falę, a żaglówki kołysały się na nich lekkie jak stateczki z papieru. Zoe obserwowała to wszystko w jakimś niewypowiedzianym zachwycie, czując podskórnie, że powinna być teraz jak najdalej od oceanu. Coś ją jednak trzymało w miejscu, tak że nie mogła się ruszyć. Woda przyciągała ją jak magnes. Hipnotyzowała ją. Zoe miała oczy szeroko otwarte, gdy woda otwierała się i zamykała, jak drzwi, przez które można było przejść, by znaleźć się w innym świecie...

W pewnym momencie drzwi wody zatrzasnęły się przed nią z hukiem. Jedna z ciemnych fal rozbiła się tuż pod jej stopami, grzmiąc jak upadająca betonowa ściana. Dopiero wtedy Zoe odskoczyła w tył i z przerażeniem zaczęła biec tam, skąd przysła, potykając się o własne nogi. Zaczął padać deszcz, gęsty i zimny. Czar prysł.

– Dokąd uciekasz, co?! Nigdzie nie uciekniesz!

Zatrzymała się jak oparzona, z sercem szalejącym w piersi ze strachu. Ktoś do niej krzyczał?

Okazało się, że nie była tu sama. Mrużąc powieki od zacinających kropel, zobaczyła postać młodego mężczyzny. Stał niedaleko, na kamiennym molo. Był wysoki, ciemnowłosy, o długiej szyi i patykowatych kończynach, niczym pajak. Zwrócony plecami do niej, krzyczał wściekle do jakiejś ciemnej figury pod swoimi stopami – do chłopca. Chłopiec ten, dużo węższy i słabszy, próbował jak najszybciej odsunąć się od tego pajakowatego, szorując plecami po mokrym betonie.

– Wygrałeś, tak? Wygrałeś?! – wrzeszczał Pajak przez wiatr, przygniatając brzuch Wątlego ciężkim butem. – Ze mną nie wygrasz, zrozumiałeś?! Zrozumiałeś, hiszpańska szmato?!

Wąty doczołgał się z trudem do samej krawędzi betonowego molo, ale gdy tylko poczuł za sobą przepaść, zastygł w bezruchu. Zoe widziała z od dali, jak czarne oczy chłopca błyszczą ze strachu jak u dzikiego zwierzęcia. Wiedział, że zaraz umrze.

Poczuła gniew. Nie był to jednak ten sam gniew, który знаła dotychczas – to uczucie było silne jak pożar boleśnie spalający ją od środka. Zbyt rzadko czuła go w swoim życiu, aby teraz potrafić nad nim zapanować. Nie myślała wiele – w jednej sekundzie przestały ją obchodzić ogromne fale, które w każdej chwili mogły zmieść całą ich trójkę z pasa kamiennych bloków, nie zwracała już uwagi na zimno ani na przemoczone ubranie i buty. Zaczęła biec w kierunku bójki.

– Przestań! – wrzasnęła przez ulewę. Zdziwiła się, słysząc brzmienie swoich słów. Nie spodziewała się, że jej głos mógł być aż tak silny.

Mimo to Pająk nawet jej nie usłyszał. Wziął zamach nogą, aby jeszcze raz kopnąć Wątłego w brzuch, ale... coś chwyciło go mocno za nogawkę spodni. Chwyciło i przez chwilę nie chciało puścić. Pająk znieruchomiał, lecz tylko na ułamek sekundy. Zmarszczył ciemne brwi, a potem gwałtownie wyrwał nogę z uścisku. Natychmiast obejrzał się za siebie.

Zoe zatoczyła się od siły jego szarpnięcia. Gdy w końcu złapała równowagę, cała aż zeszytywniała ze strachu. Przez strugi deszczu zobaczyła wściekle, żółte oczy, które od tego momentu miały ją prześladować. Zobaczyła kanciastą brodę i ściągnięte ostro brwi, zaciśnięte usta i przylepione do niskiego czoła ciemne, skołtunione włosy. Nie wiedziała, z kim miała do czynienia. Bo skąd mogła wiedzieć? Skąd mogła wiedzieć, że zadarła ze znanym na całe Bear Harbor szaleńcem?

Pająk obejrzał ją od stóp do głów. Prychnął tylko. Nie była żadnym przeciwnikiem, którym mógłby się przejąć. Odwrócił się do niej plecami, jakby nie była warta nawet odepchnięcia. Kiedy jednak znowu wziął zamach, aby kopnąć Wątłego i zepchnąć go prosto do czarnej wody, okazało się, że... już go tam nie było.

Nie było go na kamiennym moło. Nie było go w wodzie. Nie było go w porcie. Uciekł.

Pająk wpadł w furję. Zoe jednak nie słyszała już jego krzyku, bo wiatr i fale dawno ją ogłuszyły. Nie uciekała. Chyba nie miała sił. To wszystko było dla jej kruchego ciała zbyt wielkim szokiem, aby mogło pomóc jej w ucieczce. Obserwowała pustym wzrokiem, jak Pająk zaczął biegać po kamiennych blokach tam i z powrotem, klnąc i ślizgając się w słonych, przelewających się kałużach. Tępym wzrokiem patrzyła, jak dławił się wodą spływającą mu po rozognionej twarzy, jak płakał, jak wrzeszczał sam do siebie, do uciekiniera, a potem też i do niej. Tak, wyraźnie poczuła, jak

chwycił ją za ramiona i mocno potrząsał. Widziała jego żółte oczy tuż przy swoich, a w końcu były one już tak blisko, że nie widziała nic więcej.

Dlaczego nie uciekała? Dlaczego nie krzyczała?

Osunęła się na niego i przyłgnęła do jego mokrej koszuli. Wtedy on uspokoił się nagle. Przytrzymał ją jedną ręką, a drugą chwycił jej bladą twarz. Przyjrzał się jej uważnie, jakby sprawdzał, czy rzeczywiście straciła przytomność. Ścisnął mocno palcami jej delikatne policzki.

– Zostaw ją! Hej! Słyszysz?! Zostaw ją, Parker! – wrzasnął nagle ktoś obcy.

Pająk obejrzał się natychmiast. W jego żółtych oczach pojawił się nagle strach. W jednej sekundzie upuścił jej bezwładne ciało na śliski beton i zaczął biec, byle dalej od tego przeklętego głosu.